

Tadeusz Biendzio

ul. Zamenhofska 1 m 33.

BIALYSTOK

ARCHIWUM WSCHOĐNIE

Urodziłem się 1 maja 1930-go roku w Ciechanowcu w rodzinie policjanta. Mama była gospodynią domową. Ojciec, żołnierz-ochotnik wojny polsko-bolszewickiej 1920-go roku pozostawał w wojsku do 1924-go roku kiedy to właśnie przeszedł do pracy w Policji Państwowej. W 1939 roku przebywał na posterunku do ostatniej chwili. Za rządów obu okupantów ukrywał się w okolicy i co drugą noc odwiedzał rodzinę, tzn. mamę, mnie i starszego brata. Czynił przygotowania do przewiezienia nas do rodziny mamy do wsi Zubole, gm. Trzcianne /okolice Moniek/. Kiedy już wszystko było gotowe do przeprowadzki, nocą, kiedy ojciec był u nas, usłyszeliśmy pukanie i głos znajomego Żyda, "Panie Biendzio, uciekaj pan, NKWD już idzie po pana. Ojciec w najwyższym pośpiechu chwycił ubranie i zamiast wyskoczyć tylnym wyjściem ruszył do drzwi. W sieni zobaczył NKWD-yistów i usłyszał szyderczy śmiech Żyda. Było to na początku października 1939-go roku.

Przez kilka najbliższych dni ojca więziono w Ciechanowcu. W tym czasie mama zbierała podpisy pod petycją zabiegającą o zwolnienie. Żaden Żyd tego nie podpisał. Kiedy ojca przeniesiono do więzienia białostockiego, my furą udaliśmy się do rodziny matki. Ojcu dostarczaliśmy paczki do początków grudnia. Później, jak nam powiedziano, przewieziono go do Mińska, gdzie miał stanąć przed trybunałem. I tu wszelki ślad się urywa.

Nadal przebywaliśmy u rodziny matki. Jej brat-Piotr-już był aresztowany przez NKWD, bo podobno należał do jakiejś, nielegalnej oczywiście, organizacji. Dwaj inni bracia matki ukrywali się. W lutym rozpoczęła się wywózka leśników. Atmosfera zaczęła wyraźnie się zagęszczać.

Nocą, 13-go kwietnia 1940-go roku NKWD-yści otoczyli dom

i wtargnęli do środka z wielkim hałasem, przewracając sprzęty. Padł rozkaz "ruki w wierch" i rozpoczęła się rewizja. Wreszcie kazano ubierać się pokrzykując przez cały czas: "bystérj". Mama, brat i ja zaczęliśmy gramolić się na furę, która z nakazu sołtysa zajechała już przed dom. W powstałym zamieszaniu moja babcia /70 lat/ podjęła próbę ucieczki do zabudowań swojego syna, ale czujni NKWD-yści szybko odnaleźli ją po śladach i przyprowadzili do furę. Wówczas szczęścia spróbował kaleki wujek. Zamiast uciekać między budynkami, ruszył przed siebie. Rozwścieczony NKWD-ysta oparł karabin o płot i spokojnie wycelowawszy strzelił. Wujek upadł trafiony, jak się później okazało, w okolice serca. Zawieziono go do Trzeciannego, gdzie zrobiono prowizoryczny opatrunek. Lekarz, Żyd, rzekł pogardliwie: niech zdycha. Dzięki staraniom pielęgniarki wujek znalazł się w szpitalu w Knyszynie. Cały czas myślał o ucieczce ale w knyszyńskim szpitalu nie było po temu warunków, zresztą był dokładnie pilnowany. Wówczas zwrócił się do lekarza, wyjaśnił mu swoje zamiary i poprosił o skierowanie do Białegostoku. Lekarz, tłumacząc się niemożliwością leczenia tak groźnego postrzału w warunkach szpitala w Knyszynie, wystawił skierowanie do szpitala w Białymstoku. Przywieziono go do szpitala św. Rocha gdzie wujek stwierdził, że go nikt nie pilnuje ale lekarz Fiedorowicz zasygnalizował, że wkrótce przybędzie NKWD. Rodzina szybko dostarczyła ubranie i wujek przez Bacieczki dotarł do Przytulanki w pow. monieckim, gdzie doczekał nadejścia Niemców.

NKWD-yści, po próbach ucieczki babci i wujka, wpadli w szal. Szybko przewieźli nas do Moniek i ulokowali w bydłowym wagonie już pełnym takich ludzi jak my. Przy sprawdzaniu listy okazało się, że w rzeczywistości mają o trzy osoby za dużo. Wówczas mama powiedziała, że to pewnie chodzi o nas, bo jesteśmy

na tym terenie od niedawna a listy zapewne robiono wcześniej. Kazano nam wysiadać, ale babcię, mimo naszych nalegań, powieziono na Syberię. Wróciliśmy do domu ale cały czas baliśmy się wywózki. Ukrywający się wujkowie zamierzali przewieźć nas do innego miejsca. Noc 27-go kwietnia nocowaliśmy u sąsiada Lipskiego w obawie przed wywózką. Nocą usłyszeliśmy dobijanie się do naszego domu i zobaczyliśmy kręcących się dookoła Sowietów. Mój, starszy o cztery lata brat, umknął cichaczem do dziadka i w ten sposób uniknął wywózki. Ja również zacząłem uciekać ale z głośnym płaczem. Oczywiście pochwycono mnie z łatwością i przyprowadzono do izby. Mama zaczęła pakować pościel. "Bierz jedzenie, bo jedzicie daleko", powiedział jeden z Rosjan.

Zawieziono nas do budynku szkolnego w Knyszynie, gdzie było już wiele innych rodzin. Po trzech dniach dostarczono nas do Białegostoku i włączono do formującego się właśnie pociągu. Mówi się, że był to nietypowy transport, którym pojechały "resztki" nie zabrane przez inne transporty. Podobno o tym transporcie nie lub prawie nic nie mówi się w literaturze przedmiotu.

Rozpoczęliśmy ponad dwutygodniową podróż:

- 4 maja - wyjazd z Białegostoku
- 5 " - Wołkołysk
- 6 " - Mołodeczno. Tu wypadł nam dwudniowy /7-go i 8-ego/postój.
- 9 " - wyjazd z Mołodeczna
- 10 " - Mińsk
- 11 " - Smoleńsk
- 12 " - Moskwa
- 13 " - Kaługa / dojechaliśmy o godz. 10-11-ej rano /
- 15 " - Tuła
- 17 " - Kuźnieck
- 18 " - Kilgień

19 maja - Orenburg

20 " - Aktiubińsk.

Dowódcą naszego eszelonu był kapitan, wyjątkowo uczynny człowiek. Po przekroczeniu dawnej granicy Polski mogliśmy podróżować przy otwartych drzwiach a nawet mogliśmy zwiedzić Mińsk.

W Aktiubińsku staliśmy przez dwa dni. Wreszcie nadjechały samochody i zaczęły rozwozić nas po okolicznych koczach. My trafiliśmy do pasiołka Kimpiersaj, rejon Stiepnój, do koczochu "Czerwonoje Pole". Z nami była rodzina Łuszczynskich z Białegostoku z ulicy Żelaznej, Bartosiewiczów z okolic Zabłudowa i inni. Ulokowano nas w świetlicy, olbrzymiej sali, dawnej cerkwi a teraz domu kultury. Z powodu naszego przyjazdu powstało zbiegowisko: miejscowi przybiegli zobaczyć "polskich panów, krwópijców". Oni, bosi obdarci i głodni, patrzyli na nas wprawdzie też głodnych i zmęczonych, ale dobrze w stosunku do nich ubranych - patrzyli na nas z nieukrywaną wrogością. W świetlicy pozostawaliśmy przez kilka dni, zanim rozwieziono nas po domach. My trafiliśmy do Kirpy /Ukrainiec/, który z żoną i trojgiem dzieci zajmował pokój z kuchnią. Dach budynku był płaski, zbudowany z gałęzi pokrytych ziemią zmieszaną z gliną. Spało się nie na łózkach lecz na piecu. Tu zostaliśmy do zimy. Później przeniesiono nas do opuszczonego budynku, w którym zamieszkaliśmy wspólnie z p. Górzyńską / z Białegostoku / i jej trzema córkami i p. Konieczną i jej córką / z lwowskiego? /. Wszyscy gnieździliśmy się na 11-tu metrach kwadratowych. Tu spędziliśmy pierwszą zimę.

Już pierwszego dnia musieliśmy pójść do pracy, bo praca była warunkiem otrzymania jedzenia. Mama poszła do pracy w polu a ja rozpocząłem syberyjską karierę od pomocnika pastucha świń, póź-

niej awansowałem na samodzielnego pastucha cielaków z miejscowym rówieśnikiem. Jesienią poszedłem do tutejszej szkoły do trzeciej klasy. Chodziłem do paździenika. Brak ubrania a zwłaszcza butów sprawiły, że musiałem pozostać w domu.

W Kimpiersaj był młyn, sielsowiet, apteka a przy niej szpitalik. Latem, podczas pracy w polu kradliśmy wszystko, co było możliwe. Zboże z kombajnów zsypywano na gromady w polu. Nocą wyprawialiśmy się po 10-15 km aby je kraść. Jedni zagadywali strażnika a drudzy w tym czasie kradli. Był to proceder wysoce niebezpieczny, gdyż za kradzież dosłownie jednego kłosa ferowano wyroki po 10-15 lat. Kradliśmy też kartofle: w dzień zakopywaliśmy je w jednym miejscu, zaznaczaliśmy je w sobie tylko wiadomy sposób a nocą zabieraliśmy.

Za opał służyły "kiziaki" - suszony nawóz koński - po który chodziliśmy po wiele kilometrów w step. Krowy stały w chlewie na betonie. Codziennie spod nich wywożono nawóz, który mieszano ze słomą z kombajnu. Ugniatały to zwierzęta a potem ludzie. Później to suszono, cięto łopatom na cegły i układano w przewiewne piramidy do dalszego suszenia. Na podstawie ilości cegiełek obliczano nam dniówki - trudodni. Obowiązywała dniówka obrachunkowa; np. pomocnik pastucha otrzymywał pół dniówki a traktorzysta półtorej. Stanowiło to podstawę naszych zarobków obliczanych przed nadejściem zimy. Zwykle otrzymywaliśmy kilka kilogramów ziarna i trochę pestek nasiennych. Z konieczności musieliśmy wymieniać ubrania na żywność. Opał też musieliśmy oszczędzać. Używaliśmy go tylko do zagotowania wody, czasem zupy lub pieczenia lepioszek. W zimie siedzieliśmy w pościeli i ubraniu, które chroniły nas przed zimnem.

Ratował nas w poważnym stopniu tzw. słodki korzeń - roślina o liściach podobnych do bukszpanu i korzeniu grubości palca

i długości 2-3 metry. Zeskrobywało się z niego skórkę tak jak z chrzanu i żuło się. W smaku był słodki jak sacharyna. Nosi-
liśmy go zawsze w kieszeniach, suszyliśmy na zimę. Kradliśmy
też pestki słonecznikowe, których tu było wyjątkowo dużo, bo
w pobliżu pracowała olejarnia. Krowom podkradaliśmy makuchy.
Latem jedliśmy niemal wszystko co rosło. Polowaliśmy na susły
zalewając ich nory wodą. W tępieniu tych zwierząt był zain-
teresowany i kołchoz, bo stanowiły one prawdziwą plagę, niszc-
ząc zasiewy. Dlatego kołchozowe beczkowsy dostarczały wodę
do zalewania nor.

Latem 1941-go roku moja mama ustaliła z sąsiadką, Rosjanką,
że przeniesiemy się do jej domu, ale nie za darmo. Pmagalem jej
przy doglądaniu cielaków w cielętniku. Mając 11-cie lat wozim
łem nawóz taczka i dwukrotnie w ciągu każdego dnia podlewałem
pracownicze działki nad rzeką, nosząc wiele wiader wody pod górę.
Czasem otrzymywałem od niej trochę mleka. Jej mąż odbywał wyrok
15-tu lat za to, że nieopatrznie zaśpiewał:

Harby rakom
Chaty bokom
Dwie kobyły
s odnim okom.

Uznano to za wystąpienie przeciw władzy radzieckiej z wia-
domym skutkiem.

Mama pracowała w stepie na kołchozowych polach. Wkrótce dosz-
ło do zatargu między Polakami a władzami na tle pracy w nie-
dziele. NKWD poradziło sobie z tym w sposób nader prosty. Odma-
wiających pracy Polaków wywożono do odległej o 30 km miejsco-
wości na szkolenie. Zwalniano dopiero wieczorem, ale wracać trze-
ba było pieszo, nocą, gdy po stepie krążyły stada wilków.

Mrozy dochodziły do 50-ciu stopni i więcej. Groźny był zwłasz-

cza "burian", burza śnieżna, trwająca niekiedy i kilka dni, w czasie której widoczność spadała do zera. Zasypywał całe wieś. Chat nie było w ogóle widać a o ich istnieniu świadczyły jedynie dymy z kominów. Aby wydostać się z budynku, trzeba było dosłownie wyrąbywać sobie przejście, bo śnieg natychmiast zamarzał.

W cenie u tubylców były zapałki, dlatego pożyczano sobie żarzące się węgle do rozpalenia pieca tak jak u nas np. sól, której nieoczekiwanie zabrakło.

Na początku 1941-go roku w najbliższej okolicy rozpoczęto badania geologiczne uwieńczone odkryciem złóż rudy niklu. Nawet pracowałem przy tym ale bardzo krótko, bo za niesubordynację wyrzucono mnie. Wkrótce przystąpiono do budowy kopalni i to w wielkim pośpiechu, zwłaszcza po wybuchu wojny. Wydobytą rudę przewożono ciężarówkami do Orska, gdzie był kombinat metalurgiczny. W szybkim tempie kończono budowę linii kolejowej.

W czerwcu 1941-go roku nieoczekiwanie zwołano wiec na placu przed sielsowietem. Wówczas dowiedzieliśmy się o wybuchu wojny z Niemcami. My, Polacy jak i miejscowi prości ludzie, przyjęliśmy tę wiadomość z ukrytą radością. Wprowadzono pierwsze zarządzenia wojenne, przeprowadzono mobilizację mężczyzn i koni. W kołchozie pozostały nieliczne, najczęściej zepsute traktory. Oznaczało to orkę wołami. Flony należało odstawić jak najspieszniej do najbliższej stacji kolejowej. Nam pozostawały tylko plewy spod wialni i ~~konkol~~ ^{konkol}. Chleb wypieczony z takiej mąki swoim wyglądem niczym nie różnił się od grudy ziemi. ^BNstały lata głodu. Jedliśmy wszystko co było dostępne, nocą odgrzebywaliśmy zakopane w dzień padłe świny. W 1942-gim roku złapałem psa, uśmierciłem go i zjadłem. Z tego powodu przez dłuższy czas nie wychodziłem z domu w obawie przed zemstą sąsiada, do którego

należał nieszczęsny pies.

W tym czasie dowiedzieliśmy się, że moja babcia przebywa w Kazachstanie w Pawłodarskiej obłasti. Pisaliśmy do Moskwy i do miejscowych władz petycję z prośbą o zezwolenie na połączenie rodziny. Spotkaliśmy się jednak z nieustępliwą postawą. Później dowiedzieliśmy się, że babcia zmarła w Kazachstanie w czasie świąt Wielkanocnych 1943-go roku.

Jesienią 1942-go roku, po długich staraniach, dostaliśmy się do pracy w kopalni. Pomogła w tym sowita łapówka, którą opłaciliśmy szefa miejscowego NKWD - Łysenkę. Kosztowało to złotą obrączkę i takiż pierścionek mojej mamy. Tam mama posłała mnie do szkoły do 5-tej klasy. Chodziłem tylko 3 miesiące. Ponieważ mama jako sprzątaczką w hotelu robotniczym otrzymywała tylko 500 gram chleba, dopisałem sobie dwa lata i również poszedłem do pracy. Jeszcze w kołchozie w Kimpiersaj istniała polska szkoła założona przez jakąś placówkę gen. Andersa, w której istniała garkuchnia wspomagana przez UNRR-ę. Trwało to jednak bardzo krótko.

Otrzymałem pracę w warsztacie. Gotowałem smar z grafitem i ze sznurami azbestowymi. Powstała w ten sposób lepka maź służyła do uszczelniania koparek wydobywających rudę. Była to bardzo ciężka i szkodliwa dla zdrowia praca, na wolnym powietrzu i przy ostrych mrozach. System pracy był "okrągły", tzn. 12 na 12 godzin przy jednym dniu wolnym w miesiącu. Wreszcie dostałem się do warsztatu mechanicznego jako chłopiec "do wszystkiego". Moim głównym zajęciem było robienie nitów. Oznaczało to całodziennie walenie młotkiem za 500 gramów chleba i miskę rzadkiej zupy lub łyżkę mąki z olejem w kopalnianej stołówce. Mama otrzymała pracę w laboratorium chemicznym za

600 gramów chleba.

W warsztacie Rosjanie zrobili mi bardzo brzydki i niebezpieczny kawał: kazali szybko przynieść pręt, który niby to przypadkiem był oparty o spawarkę pod napięciem 380 volt, o czym oczywiście nie miałem pojęcia tym bardziej, że spawarka po zakończeniu pracy była zawsze wyłączana. Gdyby nie przytomna interwencja jednego z robotników, pewnie bym zginął. /pozostali śmieli się z tego jak z dobrego dowcipu. Pobiliem się z nimi i w efekcie, za karę, skierowano mnie do pracy na koparce. Tu, padając na nos, wytrzymałem do wiosny 1943-go roku, kiedy to trafiłem do obsługi pompy odwadniającej kopalnię. Stary, przechodzony sprzęt psuł się ustawicznie a za każdą awarię groził zarzut sabotażu, z którym nie było żartów. Zeby nie zasnąć ze zmęczenia, siadałem na stołku, pod nogami miałem blachę a w ręku kawał żelaza. Gdy zasypiałem, żelazo wysuwało mi się z reki i z wielkim łoskotem spadało na blachę. To mnie budziło.

Wytrzymałem tu do do zimy 1943-go roku, kiedy to skierowano mnie do warsztatów remontowych jako ucznia slusarza. Tu pracowałem do końca kwietnia 1945-go roku. Wówczas byłem już ślusarzem. W systemie pracy zaszły już wówczas pierwsze, korzystne zmiany. Pod koniec 1944-go roku młodocianym wprowadzono ośmiodzinny dzień pracy w systemie trzynicianowym. W połowie maja 1945-go roku pozwolono mi przenieść się na stanowisko ucznia tokarskiego. Tu pracowałem do 15 października 1945-go roku.

Wówczas to ZPP /rozpoczął/ akcję koncentracji Polaków z całej obłasti w Aktiubińsku. Także i nas wieziono ciężarówką do miasta, ale w głuchym stepie samochód się popsuł, na szczęście w pobliżu opuszczonej chałupy. Moja mama z kierowcą wrócili do kopalni /30 km, śnieg po pas/ po pomoc. Nas, czworo dzieci w wieku 15, 10, 8 i 7 lat zostawili w opuszczonej chacie. Siedzieliśmy

tam cztery dni i nocy słuchając, jak wokół biegają stada głodnych wilków. Nowym samochodem dojechaliśmy do Aktiubińska. Skierowano nas do obłbzymiej sali ale jedzenia nie dano. Na szybki wyjazd widoki były niewielkie. Tu i ZPP okazał się bezsilny. Kończył się listopad a władze nadal nie podstawiły transportu. Ponieważ w mieście funkcjonowała siedmioklasowa szkoła polska, mama skierowała mnie tam głównie dlatego, że przy szkole istniała garkuchnia i wydawano jedzenie. Ludzie zaczęli puchnąć z głodu. Władze, nie widząc innego wyjścia, zaczęły rozwozić zgromadzonych Polaków po domach. Mamie udało się otrzymać pracę w biurze jako sprzątaczką. Wreszcie 26-go lutego podstawiono skład bydłych wagonów. Staliśmy w nich na pięćdziesięciostopniowym mrozie aż do 5-go marca. Ratowaliśmy się na wszystkie dostępne sposoby, opalając m.in. piecyki kradzionym węglem.

Na krótko przed naszym wyjazdem odbył się publiczny pokaz zakłamania w prawdziwie sowieckim stylu. Na uroczystej akademii składano wyrazy wdzięczności ZSRR za to, że przywożąc nas na Syberię uchronił nas przez prześladowaniami ze strony niemieckich faszystów.

Ruszyliśmy nocą z 4-go na 5-go marca 1946-go roku wśród śpiewów i łez radości. Jechaliśmy przez Kijów i Lwów. Granicę przekroczyliśmy w Rawie Ruskiej. Skład dojechał do Wałbrzycha a nas skierowano do Kudowy Zdroju. Po jakimś czasie wystaraliśmy się WAGON W PUR-e i wróciliśmy do Białegostoku a następnie do rodziny mamy do wsi Zubole. Poszedłem do szkoły do 6-tej klasy a następnie do technikum ogrodniczego, które nieściło się w obecnej siedzibie Technikum Wodno-Meljoracyjnego w Białymstoku przy ulicy Antoniuk Fabryczny. Po jego ukończeniu otrzymałem nakaz pracy w PGR-e Rutka k/Brańska. Tam nie zagrzałem miej-

sca, gdyż poszedłem wkrótce do wojska. Do cywila wróciłem w styczniu 1955-go roku. Przez następny rok pracowałem w Zarządzie Wojewódzkim Samopomocy Chłopskiej w Białymstoku a następnie w Delegaturze Ministerstwa Kontroli Państwowej / od 1957-go roku jego funkcje przejęła NIK/. W 1957-ym roku przeszedłem do pracy w Zakładach Emilii Platter w Wasilkowie jako kierownik działu kadr - do roku 1960-go. Przez następny rok byłem rewidentem w "Witaminie" a następnie - do 1977-go roku kierownikiem administracyjno-ekonomicznym w Zakładach Sierżana. Skończyłem studia i przeszedłem do ZDZ na samodzielne stanowisko. Tu postawałem do maja 1986-go roku. Odszedłem na rentę II-ej grupy z powodu niedomagania serca. Obecnie jestem już na emeryturze.

Podpis: S. Lisowski